Tom II. Nr. 2.

11. Stycznia 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

BOLESŁAW ŚMIAŁY
i
Święty Stanisław.

I.

Nie masz ci już naszego Kazimierza, co nam *odnowił Polskę*. Złożony ciężką chorobą i miesiąca nie doczekał. Przy śmiertelnem łożu jego stała żona Dobrogniewa z trojgiem dzieci, i służba pańska i panowie Radni — a wszyscy z wielkim żalem patrzali na to królewskie konanie. W ostatnej chwili jeszcze polecił panom starszego syna Bolesława na króla — i zgasł. Było to roku pańskiego 1058, toż właśnie przed dwoma laty przypadała osiemsetna rocznica tej śmierci.

Miał wtedy lat szesnaście Bolesław kiedy objął panowanie nad Polską. Imiennik i prawnuk króla Bolesława Chrobrego, wielce też jemu był podobny: takiż odważny na wojnie, taki przebiegły i zmyślny w różnych okazyach, taki w sądach sprawiedliwy, taki w domu gościnny i hojny — słowem: kubek w kubek ten sam co jego wielki pradziad. A toć nie naprózno nazwano go Bolesławem śmiałym.

Silna była po te czasy Polska, wewnątrz dobrze zagospodarowana, a na zewnątrz groźna dla każdego, coby śmiał był zaczepić. — I Bolesław siedział sobie spokojnie na królewskim swoim zamku, a już nie w Gnieźnie ale w mieście Krakowie nad Wisłą. Aż tu jedną razą zawitali goście na zamku z trzech rozmaitych stron. A dostojni to byli goście, bo sami książęta i królowie: więc jeden był książę Czeski, *Jaromir;* więc drugi był król Węgierski, *Bela;* więc trzeci był książę Ruski i pan na Kijowie, *Izasław.* Wszyscy trzej wygnani byli z krajów swoich i jako tacy poszkodowani na sławie i na majątku przybyli w prośby do króla polskiego, iżby się za nimi ujął i użyczył im swojej pomocy.

Bolesław że był wspaniałego umysłu i dziwnie mężnego serca, nie wiedział co to słabszemu odmówić opieki, zwłaszcza kiedy ten słabszy miał wszelką słuszność po sobie. Toż przyjął ich gościnnie, i szczerze się zabrał gromadzić wojska, aby pokrzywdzonym w ich krajach przywrócić prawo, jakie się im należało. Skoro już wszystko było gotowe, wyruszył naprzód do Węgier w pomoc królowi *Beli.* I nie zabawił tam długo, bo zaraz w pierwszej bitwie pokonał nieprzyjaciół i królewskiego gościa swego osadził na węgierskim tronie.

Tymczasem *Jaromir,* książę czeski za dozwoleniem króla, zebrał kupę ludu polskiego na ochotnika i z takiem wojskiem poszedł na Czechów — ale pobitym został na głowę i musiał się ratować ucieczką. Czechy zaś, oddając wet za wet, wpadli zbrojno do naszego kraju i dalejże tam gospodarować po swojemu: *ogniem i mieczem.* Dowiadujeż się o tem Bolesław, będący jeszcze na Węgrzech — i duchem wraca do Polski. Jużci umykali Czechy ze zdobyczą, ale Bolesław gnał dniem i nocą i dopadł ich nareszcie w gęstych lasach, gdzie się byli rozłożyli dla odpoczynku. No i ma się wiedzieć żeć im nie podarował, odebrał wszystką zdobycz co ją byli w Polsce narobili i pobiwszy im dużo luda, napędził het z kraju. Ale jeszcze na tem nie dosyć; aby ich bardziej ukarać, najechał ich własny kraj i tam im dopiero dopiekał; aż radzi nie radzi musieli się udać w pokorę i prosić o pokój. Dopieroż udobruchał się nasz Bolesław, króla czeskiego Wratysława grzecznie przyjął u sie-

bie i podał mu rękę do pokoju. A że ten Wratysław upodobał sobie królewską siostrę, *Świętochnę*, to mu ją dał w dowód swojej przyjaźni, i obojgu sute wyprawił wesele w Krakowie na zamku. Zaś Jaromira księcia pogodził z bratem Wratysławem — i w taki sposób już drugą sprawę załatwił. — Pozostała mu jeszcze trzecia sprawa księcia na Kijowie, Izasława. Niebawem też zabrał się i do niej.

Trzema szlakami ruszył Bolesław z doborowem wojskiem na Ruś i do Kijowa. Widząc że to nie przelewki, i żeby się takiemu wojsku nie oparli, stchórzyli przeciwnicy księcia Izasława i otworzyli mu bramy miasta Kijowa. Tam dopieroż książę z wdzięczności za doznaną pomoc, podejmował hojnie króla polskiego z całem wojskiem przez lato i przez zimę. A kraj to bogaty, a przyjęcie było szczere, toż działo się tam naszym jak w Raju, tak dobrze i wesoło.

Ale z tem wszystkiem taki raz trza się było pożegnać i wracać do domu; bo już i gospodarze poczęli się krzywić na swoich gości co ich tak długo podejmowali u siebie; i znowu na Węgrach świeża powstała zamieszka, gdzie musiał spieszyć Bolesław aby tam po raz drugi jaki taki ład zaprowadzić. Więc duchem kazał się wojsku zebrać, pożegnał księcia Izasława, który jeszcze za to co mu pomagano, obiecał Polsce co roku pewną daninę wypłacać w złocie, i tak nareszcie po dobrej zabawie wyruszyli nasi z Kijowa. — Po drodze wstąpił Bolesław na Węgry i zaraz kłótliwych pogodził; poczem już wprost zdążał do domu.

Jako dobry gospodarz zajął się teraz pilnie sprawami własnego kraju: gdzie co uwidział niedobrego i szkodliwego dla Polski, wszelkiemi siłami temu zaradzał; pokrzywdzonych brał w swoją opiekę a niesprawiedliwych i przekupnych sędziów, jeśli się który znalazł, karał najsurowiej — przeciwnie dobrych pochwalał i nagradzał hojnie, prawdziwie po królewsku.

Tutaj opowiemy jedno zdarzenie, które wam najlepiej pokaże, jak dziwnie hojny był nasz król, ten Bolesław śmiały. Pewnego razu siedząc w Krakowie przed swoim pałacem, odbierał król od posłów z Rusi wielkie pieniądze, które mu jako roczną daninę w samem złocie przywieźli. Wtem słyszy nie-

opodal straszliwie jęczącego człeka, a rozumiejąc że go kto uderzył, pyta: — A co tobie, chłopie?

Na to królewskie zagadnienie zbliża się człeczyna jakiś w podłem odzieniu, skulony we dwoje i drżący na ciele jakby go choroba tłukła. Oj, nie choroba to ale brzydkie łakomstwo tak mocno nim zatrzęsło, kiedy zajrzał na kupie tyle złota leżącego u stóp królewskich. Udał więc przed królem bardzo ubogiego, bo go znał dobrze jako miłosiernym i hojnym bywa dla ubogich.

— Oj miłościwy królu! zawodzi płaczącym głosem — oj panie miłosierny! oj biedny ja, biedny aż strach!...

A król mu na to: — Jeślić tylko o to chodzi, no to zaraz temu zaradzimy. Widzisz, chłopie, tę kupę złota?

Chłop się jeno uśmiechnie i głową pokiwa. Król zaś prawi dalej:

— Przystąpże sobie bliżej i bierz z tej kupy tyle złota ile ci się spodoba.

Łakomiec nie dał sobie tego dwa razy powtarzać, skoczył co tchu do złota jakby do kochanki, i dalej napychać niem kieszenie i poły od kapoty aż mu się od zbytku naderwały. Wtedy król jeszcze go odziać kazał w swój płaszcz królewski i dopiero tak udarowanego puścił do domu. Aleć powiadają że on łakomiec tak się był przeładował złotem, aż się oberwał od tego ciężaru i gdzieś pono tam w drodze marnie zginął.

To wam przepowiedziawszy o hojności królewskiej, zabieramy się teraz do dalszej historji. — Po latach kilku Rusini, nad którymi przewodził książę Izasław w Kijowie, wzięli znowu na kieł i księcia swego precz napędzili z kraju. Skoroć się to doniesło do Polski, zaraz król na wojnę się gotuje, gromadzi rycerstwo, sam dosiada konia i wali na prost przez Wołyń do Kijowa. Po drodze siła nazdobywał zamków. Nareszcie pod Kijowem nieprzyjaciele zastąpili naszym w dużej sile; ale że to była sama hałastra, a wojsko polskie siedziało na dobrych koniach i w żelaznych zbrojach, śmiało przeto uderzył na nich Bolesław i pobił na głowę. Jeszcze w mieście chcieli mu się postawić, pozamykali bramy, obsadziwszy mury żołnierzem. Myśli sobie Bolesław: — Poczekajcie! i jednego męża nie stracę a wasze miasto zdobędę. — Tak tedy wojsku rozkazał gęsto

rozstawić się do koła, aby do miasta nie dopuścić żywności. Niebawem począł im tam głód nie na żarty dokuczać, i radzi nieradzi musieli się w końcu poddać królowi.

Wjeżdżał Bolesław do Kijowa tą samą bramą, co i jego pradziad Chrobry i uderzył mieczem po tym samym znaku na złotej bramie, co ją był tamten uczynił przed laty. Wojsku przykazał spokojnie się w mieście zachować i mieszkańców nie trapić — a Izasława księcia zrobił po raz drugi panem Kijowa.

Aliści licho skusiło Bolesława, że do domu nie wracał, i na zimę pozostał w tej rozkosznej krainie!....

Dla czego? o tem dowiecie się za drugim razem, gdzie także będzie mowa o S. Stanisławie, który był za czasów Bolesława śmiałego biskupem Krakowskim.

Dopomóż-Boże.

Rano w jesieni szedł starzec ubogi
Wielkim gościńcem, co się wił przez pola;
Spotkawszy siewcę niedaleko drogi,
Rzekł: — *Pomóż-Boże!* — Dzięki, choć ma rola —
Odparł mu wieśniak — bujnie rodzić może
I bez twojego, starcze, *pomóż-Boże.*
Żyżny czarnoziem dobrze utłuszczony
Dwa razym orał, dwa razy bronował,
Najlepszem ziarno na posiew zachował,
Chcąc nie chcąc muszą być obfite plony —
Tylko mi siewu nie ma znaczyć komu;
Pomóż, nim chłopiec mój powróci z domu.
Słońce dopieka, zrzuć twoję sukmanę,
Ciężko przez pole chodzić poorane
Z twemi łatami. — I starzec w milczeniu
Zdjął i zawiesił świtkę na promieniu.
— A, tyś czarodziej! — Nie kłopoć się oto,
Lepiej się naszą zajmijmy robotą. —
Bez przeżegnania kmieć na rolę czarną
Równem półkolem rzucał z torby ziarno —
Dziad słomą znaczył. Trzy razy przez pole
Zeledwo przeszli — wróciło pacholę,

I odszedł starzec. W tejże samej chwili
Inni wieśniacy drogą przechodzili.
Jeden z nich młody, co więcej zabawą
Lubił się zająć, niż roli uprawą,
Ujrzawszy pierwej w niemałem zdziwieniu
Wiszącą świtkę na słońca promieniu,
Myśląc że pracę cud zastąpić może;
Więc z taką prośbą ku niemu przystąpił:
By mu swej łaski cudownej nie skąpił.
Starzec nań wejrzał i rzekł: — *Pomóż-Boże!*
Tedy on spieszy ku gliniastej niwie,
Którą od dawna zarzucił odłogiem,
Pewny, że wszystko pójdzie mu szczęśliwie,
Gdy swe leniwstwo mógł wyręczyć Bogiem —
Stanął na polu i rzekł: — Pomóż-Boże,
By mi ta glina urodziła zboże.

Dalej gościńcem szedł starzec ubogi;
Widzi, chłop trzeci sieje wedle drogi,
A w imię Ojca i Syna i Ducha.
— Dobrze, rzekł starzec, siejba i otucha;
Pomóż ci Boże! — Dzięki ojcze tobie,
Bez Boga, odrzekł, nic biedny nie zrobię,
Choć uprawiłem ziemię w czoła pocie,
Ale to piasek, i złe ziarno sieję!
Niewiele przeto ufam swej robocie,
Lecz całą w Bogu pokładam nadzieję. —
Starzec w milczeniu przeżegnawszy pole,
Odszedł powoli i zniknął w rozdole.

Rola piaszczysta, gdy nastały żniwa,
Bujnym i gęstym kłosem się pokrywa.
Bez żadnej pracy rąk, niwa gliniasta
Gdzie niegdzie tylko piołunem zarasta.
A on czarnoziem żyzny miast pszenicy
Pełno ma chwastu, kąkolu, mietlicy.
Tylko ślad starca, gdzie przechodził rolę,
Kłosem w trzy rzędy złocił się przez pole.
I odtąd zimą, wiosną i jesienią,
Zawsze się ślady w kształcie stóp zielenią,
I kiedy plonem przyodziana niwa,
Ślad starca bujniej nie wierzch się dobywa.

J. H.

Strach złapany.

Lat już temu kilkanaście, gdy jednego poranku wybrało się dwóch panów myśliwych na polowanie. Właśnie jesień nastawała, dzień był pogodny, powietrze takie świeże aże się niem oddychać chciało, a w tej okolicy huk zwierzyny; to też nic nie pytając pukali sobie nasi panowie z fuzyjek od rana do wieczora i upolowali coś z kilka zająców. — Tymczasem słonko uciekło, a że to było właśnie przy nowiu, nocka stała się ciemna i trudno było drogi dopatrzyć. Idąż myśliwi pociemku, macając rękoma pilno wkoło siebie, żeby gdzie na jakiem drzewie nie utknąć. Nareszcie po długim czasie wydobyli się z lasu na równe pole. Ale cóż? skoro się lepiej rozpatrzyli w okolicy i zmiarkowali gdzie są, pokazało się że na jakie dwie mile drogi odsadzili się od domu. Wracać już było za późno, ułożyli więc sobie w najbliższej wsi przenocować u pierwszego lepszego gospodarza. I tak się też stało. Niebawem idąc prostą drogą, widzą na uboczu porządną chłopską zagrodę. Z okienka chałupy jasne biło światło, znać jeszcze tam ludzie czuwali, co tem mocniej uradowało naszych myśliwych, że nie potrzebowali długo się dobijać. Ledwie też zakołatali do drzwi, od razu usłyszano ich w izbie.

— Kto tam? ozwie się babski głos z wnętrza.

— Prosimy was matko — zawoła jeden z myśliwych — otwórzcie nam.

— A cóż wy za jedni?

— Wracamy właśnie z polowania, bądźcie tak dobrzy przyjąć nas na nocleg.

— Ale czy to pewno panowie myśliwi?

— Możecie sobie zobaczyć przez okno, skoro nie wierzycie, pokażemy wam torby nasze z zającami — rzekli obaj, i na to pokazanie stanęli tuż pod oknem.

W samej rzeczy kobieta przyłożyła oczy do szyby i popatrzywszy chwilę, skoro się przekonała że tak jest a nie inaczej, poszła zaporę u drzwi odsunąć.

Ta ostrożność zdziwiła nieco myśliwych. Wszedłszy do izby oświetlonej sporym ogniem na kominie, zastali tam starego gospodarza, kobietę jego i trzeciego parobka co był ich synem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powitali goście, a starszy z nich dodał: — Pozwólcie nam przenocować u siebie — noc tak ciemna, a mamy daleko do domu.

— Z całego serca! odpowie gospodyni, ścierając zapaską ławę stojącą przy piecu. — Prosimy siedzieć — wydajecie się panowie poczciwymi ludźmi, i dobrze nawet że nas więcej razem przez noc zostanie; będziemy trochę spokojniejsi.

— A to czemu? zapytali goście.

— Ej, ba! będziecie tu panowie sami mieli strachu, to wam z góry zapowiadam.

— Cóż to wy takiego mówicie?

— Samą szczerą prawdę, tak mi Panie Boże dopomóż! no, ale co tam moje słowa, niedługo sami panowie zobaczycie.

— Ale cóż takiego? czy tu złodzieje są w tych stronach?...

— Ba! właśnie, gdybyć to tylko złodzieje!...

— Jeszcze co gorszego? cóż więc takiego być może?... pytają a pytają goście wielce rozciekawieni.

— E! bo panowie nic nie wiecie — poszepła kobiecina i z widoczną trwogą do koła siebie się opatrzy — tu w nocy *przeszkadza*. Oto nieboszczyk Marcin, nasz sąsiad, co umarł niedawno, teraz chodzi po nocy.

Na te słowa panowie myśliwi w śmiech, bo jużcić jako ludzie rozumni nie wierzyli w żadne strachy. Ale zababonni ludziska inaczej sobie takowy śmiech wytłumaczyli; im się wydało że to sami diabli przebrali się po strzelecku i przywędrowali do ich chaty, abyć im jakiego figla wypłatać. Toż popatrzyli na nich z ukosa i już się zaczęli żegnać i po cichu odmawiać modlitwy od złego ducha, gdy wtem znowu jeden z gości powstanie z siedzenia i w te słowa się odezwie:

— Nie bójcie się, moi ludzie! wszak widzicie iż wcale nie wyglądamy na diabłów, a nawet jeżeli chcecie to na przekonanie przeżegnamy się wam znakiem krzyża świętego. Ale powiedzcie nam, jekeście dobrzy, o jakim to strachu mówicie?... bo dalipan że was nic a nic nie rozumiemy.

— Otóż kiedy tak, to zaraz panom opowiem — rzekła kobieta, przyszedłszy nieco do siebie. — Od dawna mieszkał w tej wiosce gospodarz jeden, co się zwał Marcin. A był on bardzo miłosiernym dla wszystkich ubogich. Jak umarł, temu dwa miesięcy, pełno było płaczu wszędzie. Pochowali go pięknie i każdy dał na mszę za jego duszę. My nie jesteśmy tacy zamożni, więc nie daliśmy nic, ale też za to dobrze teraz wypokutujemy. Mamy tylko kawałek pola i ten ogródek, coście tam może panowie widzieli wedle chałupy; ale i tak zawsze by lepiej było dać ile tyle na mszę świętą za duszę zmarłego, który nam, mówiąc Bogiem a prawdą, siła też świadczył dobrego za życia. Teraz widno zagniewał się na nas, bo jak tylko zwieźliśmy zboże z pola, chodzi w nocy do naszej stodółki, wymłaca nam żyto, i potem rozdaje ubogim.

— Ależ powiedzcie nam, moi dobrzy! zapytali znowu goście — zkąd wiecie, że to nieboszczyk Marcin wymłaca wam zboże?...

— Zkąd? alboż to nie słyszymy go co nocy jak młóci? a potem, wszak on sam do nas gadał i słyszeliśmy to wszystko na własne uszy, co do panów mówimy.

— I wy tak zaraz temu uwierzyliście? zawoła starszy myśliwy — Oj ludzie! a nie mógł to ten wasz drągal syn pójść i zaglądnąć temu strachowi bliżej w oczy?...

— Właśnie! burknął pod nosem synalek — alboż to ja nie wiem, czem to pachnie, stroić żarty ze strachem? Aha! nie głupim.

— Jak widzę, wszyscyście głowy potracili! rzeknie myśliwy — wam się zdaje że to strach jakiś chodzi, a jabym się o niewiedzieć wiele założył, że to po prostu złodziej udaje przed wami stracha, widząc żeście tu wszyscy tchórzem podszyci, i pod samym nosem wymłaca wam żyto.

— Łatwoć to tak gadać sobie! wtrącił teraz gospodarz — alećmy tu nie sami tylko tchórze, bo choć i nasz sąsiad Stanisław, jekeśmy mu o tem powiedzieli, nie chciał ani razu przyjść do nas na noc, mówiąc że takich nieboszczyków strasznie się boi. A to przecie stary wojak, co nie raz i nie dwa, jak sam powiadał, śmierci w oczy zaglądał.

— Stanisław! powiadacie, stary wojak! wasz sąsiad! zawoła pilno jeden z gości — a nie chciał przyjść na spanie do was? no! to już mam waszego stracha tak prawie jak w garści — poczekajcie, a cicho mi się sprawować!...

To powiedziawszy, myśliwy nabił strzelbę, poszeptał potem coś drugiemu do ucha, i zaraz-ci obaj wynieśli się z izby na pole, i wprost skoczyli do stodółki na zasadzkę. Tymczasem ludziska pozostali w chacie, drząc na całem ciele ze strachu, i już gości swoich uważali tak dobrze jak za przepadłych. -- Około północy myśliwi z zasadzki swojej patrzą, aż tu cosik całkiem białego od stóp do głowy śmiało podsuwa się do stodoły, wyciąga kilka snopków ze sąsieka, kładzie na boisku, i zaczyna sobie młócić na piękne. W tej chwili nasi panowie myśliwi cichaczem wychodzą z zasadzki, i dalejże z tyłu na stracha! Jeden z nich wystrzelił na wiatr. Strach bęcnął jak długi na ziemię, wrzeszcząc w niebogłosy: gwałtu! ratujcie!... a myśliwi do niego, cap panicza za łeb, podnosząc na nogi i grożąc mu strzelbą jeśliby chciał zrywać się do nich, prowadzą go na pokaz i dziwowisko do chaty.

— No, prawi jeden, wstępując na izbę a za nim drugi popycha stracha kułakiem — przycapiliśmy wam nieboszczyka — przypatrzcież mu się lepiej! może nie taki czarny diabeł jak go malują.

— Aa! zakrzyczała cała rodzina i rozwarła gęby na oścież z podziwu. — Taże to nasz sąsiad, Stanisław!

— Czy doprawdy on? patrzajcie! a jak się dziwnie ustroił do młócenia! a siłaż mu płacicie od kopy, gospodarzu? zapytał starszy myśliwy niby żartując.

A ludziska nic, jenó pokiwali sobie głową, powtarzając raz po raz: Stanisław! Stanisław!

Dopieroż gość wsiędzie na nich: — A fe, a wstydzilibyście się ludzie takiej głupoty, żeby wierzyć w strachy. A ty młody tchórzu! widzisz, żebyś był zaraz z samego początku przyłożył pięście do tego stracha, miałbyś teraz całe to zboże, co ten niegodziwiec, choć i wasz Stanisław, wam pokradł. Otóż to korzyść być *tchórzem* i *zabobonnym!* Nie umarłych to bać się trzeba, ale żywych i złych ludzi, co dybią na waszą szkodę!

Oni to korzystają z waszej ciemnoty, aby was okłamywać, okradać i na złe drogi nawodzić — słowem, źli judzie stoją wam na zdradzie, a nie jacyś tam nieboszczycy, i strachy którymi sobie podaremnie nabijacie głowy. Niechżeż wam dzisiejszy wypadek posłuży za przykład, iżbyście na później podobnym baśniom nie dawali wiary.

— Teraz zaś, wy gospodarzu wraz z synem odprowadźcie owego stracha do sołtysa, a my jutro rano jako świadkowie w urzędzie potwierdzimy jego złodziejstwo i oszustwo, aby za to otrzymał karę na jaką zasłużył.

Od tego czasu gospodarz i gospodyni ani sobie dali wspomnieć o strachach, a jeślić się kiedy zdarzyło że który kum albo kumoszka gwałtem im w ucho kładli o jakim nieboszczyku, straszącym po śmierci, to zaraz onym wierzącym opowiadali na zbicie ich głupiej wiary, historję o ***złapanym strachu.***

Waszemu zdrowiu na pożytek.

Z końcem przeszłego roku podaliśmy wam z *Kalendarzyka* p. *Wielogłowskiego* to i owo, coć psuje ludzkie zdrowie i o nieszczęście ich przyprawia. Dziś z tejże samej książeczki wypisujemy dla was zbawienne rady i przestrogi, jak się zachować macie w tej lub owej chorobie i jakich leków zażywać należy, aby się przy Boskiej pomocy podźwignąć na nogi. —

„Najczęściej się, moi ludzie, skarzycie na ból we wnątrzu, co nazywacie ogólnie: *„boleniem.“* Na to jakież jest u was lekarstwo? Oto półkwaterek wódki z pieprzem albo bez pieprzu. — Czasem wam to pomaga, a częściej was zabija. — Widzicie że ból brzucha z różnych powodów pochodzi: — albo z przeziębienia, albo ze zbytniego najedzenia, albo z zatrucia się surowizną lub niezdrowym pokarmem, albo też jest ogólna choroba w powietrzu, która sprowadza ból mniej lub więcej niebezpieczny. Kiedy więc są rozmaite przyczyny bolu, i rozmaite rodzaje chorób,

to muszą byó i rozmaite lekarstwa, stosujące się i do przyczyn i do rodzaju choroby. — Nie można też wódki uważać za tak cudowny środek, iżby na cobądź pomogła; bo wódka to ogień, a wiecie że ogień grzeje, albo też i pali, więc wódką zamiast się zagrzać moglibyście się i spalić. Otóż, moi kochani, tak wam powiem: Gdy was albo kogo z waszych w domu brzuch zacznie boleć, dowiadujcie się naprzód, czyli nie jadł chory jakich niezdrowych pokarmów, albo owoców niedojrzałych, albo też czy się nadto nie objadł. — Jeżeli się dowiecie, iż ten a nie inny jest powód jego choroby, to ugotujecie mu w kwarcie wody małą garść polnego rumianku i dajcie mu pić ciepło, aby wypił tę kwartę w godzinie. Wtenczas albo wyrzuci z żołądka (coby było nalepiej) albo pomoże mu ten rumianek do strawienia. Gdyby to nie pomogło, to idźcie do dworu albo na plebanią po proszek na wymioty, i ten proszek wsypcie do kwaterki letniej wody i zamieszajcie. Połowę tej kwaterki dajcie zaraz choremu wypić, a drugą połowę za trzydzieści Zdrowaś Marja, które na intencją chorego na korónce zmówicie. — Gdy chory zacznie mieć wymioty, dajcie mu pić letniej wody jak najwięcej, ale *letniej* mówię a *nie gorącej*. Chory podczas zimy musi leżeć w chałupie, a w lecie może leżeć w stodole, ale nie na polu i nie na wilgotnej ziemi. — Jak z niego dobrze wytarga, to dajcie mu kleiku z jęczmiennej kaszy albo rosołu, ale broń Boże, dawać mu tego dnia kapusty, ziemniaków, kwaśnego mleka, jabłek, gruszek i śliw, choćby chory miał do nich smak. — Nie ważcie się również dawać wódki ani piwa, ale może sobie popijać rumianek, albo peż w wodzie gotowany, albo zjeść wieczorem i wodzianki lub rzadkiej kaszy na wodzie. Gdyby chory cierpiał wielkie boleści, albo dużą biegunkę, to weźcie ścierkę, albo sporą szmatę na dwa łokcie, albo zapaskę i umaczawszy ją w zimnej wodzie, wykręćcie dobrze szmatę do jednej kropli, złóżcie we dwoje i obłóżcie tą wilgotną chustą brzuch na około krzyżów, a na tem wilgotnem przywińcie znowu suchą szmatę lub reintuch, albo płachtę i niech tak chory leży. — Najprzód mu się będzie zdawać zimno, ale zaraz potem się zagrzeje. Gdy ta pierwsza wilgotna szmata uschnie, to powtarzajcie to samo, dopóki się choremu zupełnie nie ulży. To jest

sposób niezawodny a łatwy, bo wszędzie się woda znajdzie i dwie jakie takie szmaty.

Sposób ten używania okładów z zimnej wody równie jest skutecznym w razie, gdy boleści pochodzą z przeziębienia brzucha; jednak gdyby nie pomogły te okłady, to wam tak doradzę: — Zbijcie jaj cztery, odrzućcie białka, a żółtka rozbijcie na misce, nalejcie na to kieliszek mocnej okowity i zapalcie ją a zaraz się usmaży jajecznica. Wyłóżcie tę jajecznicę na szmatę dopóki ciepła i posypcie ją pieprzem i taką przyłóżcie choremu na pępku, obwiązawszy chustką aby nie spadła, i niech tak chory leży z tem trzy godziny, a popija rumiankiem lub lekkim odwarem mięty.

Jeżeli się pokaże krwawa biegunka, jakto w lecie ta choroba zwykła panować w skutek jedzenia zielonych owoców lub młodych ziemniaków, albo napicia się po rozgrzaniu zimnej lub niezdrowej wody z bagna lub rowu; to wtenczas nie można z tem żartować, bo to zła choroba, tylko niech się zaraz chory położy, aby spokojność zachował, a wy się zabierzcie do dworu albo na plebaniją i proście o ratunek, dopóki doktor nie przyjedzie. — Najprzód ugotować kaszy jęczmiennej z tłustem i choremu letnio cały brzuch obłożyć a chustką obwiązać. — Zimnej wody, wódki, piwa i żadnych kwasów, ani jarzyn, to jest kapusty, ziemniaków i rzepy mu nie dawać, tylko kleiku z jęczmiennej kaszy bez soli i masła niech pije ile chce, a niech leży przykryty. — Ze dworu albo z plebanii uproście sobie dobrej oliwy utartej z cukrem pół na pół i tej dawajcie choremu co dwie godziny po łyżce. — Gdyby po siedmiu dniach biegunka nie ustała, to dostańcie sobie zkąd suszonych borówek i na garść tych borówek nalejcie gorącego ukropu pół kwarty. — Gdy tak to lekarstwo postoi przez godzinę, dawajcie choremu tej wody pić po kieliszku. Zapowiadam wam zaś, abyście w tej chorobie nic tęgiego, ani kwaśnego, ani słonego nie dawali, i aby chory na trawniku wilgotnym nie leżał. — Czasem i to nie pomaga, więc meldujcie się doktorowi powiatowemu lub w mieście jakiemu innemu doktorowi, ale babskich rad nie słuchajcie, bo to choroba nie lada!!

Także często gęsto dostajecie febrę czyli zimnicę, którą wy *zimnem* zowiecie, i skarzycie się że was już kilka razy

utłukło a nie chce wam ustać. Jakże wam ma ustać, kiedy przy febrze zajadacie kwaśne mleko, maślankę, jabłka, gruszki, a żołądek macie nieczysty, bo język wasz jakby wam go kto gliną z wapnem obłożył. Dopóki z żołądka nie usunie się śmieci i niezdrowizny, dopóty was zimno będzie tłukło najprzód co trzeci dzień, a potem co czwarty. — Gdy się zaś febra we czwartaczkę zamieni, a na jesień się usadowi, to tego gościa ani się już w zimie nie pozbędziesz. Dla tego radzę wam abyście w zimnicy czyli febrze zaraz proszek na wymioty zażyli, a na trzeci dzień proszek na przeczyszczenie, co się nazywa *jalapa*. — Dopiero jak wymieciecie z wnątrza tę niezdrowiznę, to już wtedy może chory połknąć pierwszego dnia na czczo dwa ziarnka białego pieprzu, a drugiego dnia cztery ziarnka, a trzeciego sześć ziarnek, aż czwartego ośm i piątego dziewięć, a febra niezawodnie ustąpi.

Gdyby się zaś broń Boże tyfus wdał w jaki dom, to po proszku na wymioty pierwszych dni zadanym, już więcej nie brać na przeczyszczenie ani Eliasza ani *jalapy*, ale tylko pić zimną wodę i barszcz burakowy, a w razie dużej gorączki i majaczenia, ciasto z tłuczonej gorczycy i mąki żytniej z wodą lub octem zarobić i te na łydki przyłożyć i przez pół godziny trzymać. — Broń zaś Boże chorego w ciepłej kąpieli kąpać! W ważnych chorobach lepiej nic nie robić jak bez rady doktora odważać się na leczenie, i życie bliźniego brać na swoją odpowiedzialność i sumienie. —

Teraz mówić wam będę o bardzo ważnej chorobie, to jest o zapaleniu płuc, które wy nazywacie kolką pod piersiami. — Ta choroba jest wśród was bardzo częsta, bo zapociwszy się w lesie w czasie zimy, zrzucacie nagle kożuch i raptownie się ostudzacie. — Wiecie dobrze ile to już między wami ludzi na to umarło. — Zwykle się zaś na tę chorobę tak leczycie, iż słoniny natopiwszy do wódki, kwaterkę i więcej wypijacie. — Jest to zupełnie to samo jak gdyby kto chciał siarką ogień gasić. — Otóż mało który z was z tej choroby wyjdzie, ale zawsze prawie umiera. — Gdy kogo kolka pochwyci, to zaraz trzeba posyłać po doktora aby krew puścił, a gdyby doktora nie było to wziąść i cyrulika aby pijawek pod piersiami ze 20

postawił, albo bańki siekane. — Pić mleko słodkie na pół z wodą, a na piersi można przykładać płatek zmaczany w zimnej wodzie i dobrze wykręcony, i nakryć go suchą chustą i często odmieniać, a w braku doktora szukać rady we dworze lub na plebanii. Nic tęgiego, ani kwaśnego, ani słonego pić ani jeść nie trzeba, ani broń Boże proszku na wymioty nie brać, bo byście samochcąc sprowadzili śmierć na siebie.

Kiedy którego z was gardło zaboli, tak iż wam zawadza w gardzielu i przełykać wam nie pozwala, to tego samego dnia gdy ból poczujecie, umaczajcie sobie przed spaniem szmatę w zimnej wodzie, wykręćcie ją i wysączcie dobrze a obwińcie nią całe gardło, a potem na tej mokrej szmacie przywiążcie grubo suchą szmatę i nakrywszy się dobrze, spijcie z Bogiem. — Zwykle już rano bolu czuć nie będziecie. — Gdyby zaś wasze dziecko na chrypkę czy gorzej na *krup* wam zachorowało i zaczęło kaszleć tak jak kiedy młode kurcze pieje, a przytem dusiło się, główkę w tył odchylało, to też zaraz obwińcie mu gardło zimnym ale dobrze wykręconym z wody okładem i na to obwińcie suchą chustkę a biegnijcie do dworu po proszek na wymioty, który rozpuścicie w kwaterce letniej wody i dacie mu co pięć minut po łyżce, dopóki kilka razy nie zrzuci. Także enemę ze szlazu jednę i drugą dajcie, i pić szlaz wygotowany a cukrem osłodzony dawajcie. — To straszna choroba! i z ratunkiem przy niej spieszyć się należy. — Jeśli więc jak zwykle po północy wypadnie, to nie czekajcie rana, ale zaraz do dworu albo na plebanią po proszek biegnijcie. — Często też między wami panują bolączki za uszami i pod szczęką. Na to rozmaite liście i smalce przykładacie, a najczęściej psie sadło, skrom zajęczy i różne inne leki. Najlepiej jest na to z samego początku przyłożyć plaster *melilotowy*, który dostaniecie w każdej aptece, albo którego użyczą wam może we dworze, lub na plebanii. Gdyby zaś tego plastru nie było, to zróbcie tak:

Ugotujcie kaszy jęczmiennej z niesłonem sadłem lub wreszcie i masłem, ale na rzadko i wyłóżcie tę kaszę na szmatę cienką. Zawińcie ją w jedno aby wilgoć z tej kaszy przechodziła przez chustę i przyłóżcie na bolączce, a co godzina przygrzywajcie aby zawsze było letniawe. Gdy się bolączka nie

rozejdzie, ale się tak wyniesie w środku, że się ma ku przepuknięciu, wtenczas możecie białej cebuli upiec i rozetrzeć w skorupie a na bolączce przyłożyć. — Bolączki oziębiać nie można i trzeba koniecznie twarz podwiązać.

Najpospoliciej zdarza się na wsiach, iż sobie kto nogę albo rękę stłucze, to podnosząc drzewo, to znowu gdy drabina z wozu spadnie, koło przejdzie, lub koń uderzy, wół albo krowa nadepnie. — W takich razach należy wziąść mokrą szmatę i miejsce stłuczone obwiązać, a na szmatę ciągle polewać zimną wodą i tak przez cały dzień i noc robić, aby puchliny nie dopuścić; zwykle po 24 godzinach pilnego w ten sposób opatrywania stłuczenie jest wyleczonem.

(D. n.)

Prawdy gospodarcze.

(Z elementarza dla chłopców wiejskich.)

Pytanie. Czy praca około roli jest zasługą przed Bogiem?

Odpowiedź. Jest zasługą, bo jest według przykazania Boskiego. W piśmie św. mówi Bóg do człowieka: *W pocie oblicza twego będziesz pożywał chleba.*

P. Co powinien czynić dobry gospodarz i dobry sługa?

O. Bogu cześć oddawać, ludziom poczciwość, roli pracę od rana do zmroku:

Próżniactwa i boskiej obrazy
Unikać jakby zarazy.

P. Czy dobry gospodarz tylko dla siebie samego pracuje?

O. Nikt na świecie dla samego tylko siebie nie pracuje; ale owszem z każdej pracy, czy w rzemiośle, czy w czem innem, musi być przecie pożytek dla drugich. To samo i gospodarz: nie tylko dla siebie pracuje, ale i dla wszystkich, którzy ziemi nie mają, a jeść potrzebują:

Kęska chleba
Wszystkim trzeba;
Więc kto roli chleba sporzy,
Łaskę Boga sobie mnoży.

P. Czy niedbały gospodarz i zły sługa Pana Boga obraża?

O. Bardzo obraża, bo Pan Bóg przykazał żyć poczciwie i pracowicie:

Kto próżniak, niedbalec, niepoczciwie służy,
Ten duszę piekłu na mieszkanie dłuży.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**